Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Konto czekowe Poczt. Kasy Oszczędności Nr. 151.496. Cena N-ru 200 Mkp.

Wydawn. ROK 54. KRAKÓW, DNIA 1. PAŹDZIERNIKA 1922. Nr. 40.

DJABEŁ



PRENUMETĘ, LISTY, ARTYKUŁY NALEŻY NADSYŁAĆ POD ADRESEM:
WYDAWN. TYGODNIKA „DJABEŁ"
WŁADYSŁAW BABUCHOWSKI
KRAKÓW, ULICA NIECAŁA L. 4.
PRENUMERATA W KRAKOWIE I NA PROWINCJI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ
MIESIĘCZNIE 800 Mkp.

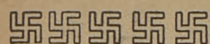
WYCHODZI CO SOBOTĘ.

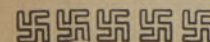
TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

NAROBEK SEJMOWI.

Otrzymawszy Polskę wolną
Uchwalił ustawę rolną
Dla zniszczenia dobrobytu
Gospodarki i kredytu.

Wszystkim obcym bogom służył,
Chronił lichwę, kraj zadłużył.
Kłócił się jak szewcy w szynku,
Wreszcie legł dla odpoczynku!





OD WYDAWNICTWA. Niniejszem zawiadamiamy P.T. Interesowanych, że z dniem 1 października b.r. oddaliśmy dział inseratowy tygodnika „Djabeł“ BIURU REKLAMY PRASOWEJ „PROMIEŃ“ KRAKÓW, RYNEK GŁ. 30. (róg Szewskiej) i tam też prosimy się zwracać z wszelkiemi sprawami związanemi z działem inseratowym naszego wydawnictwa.

Całoroczna prenumerata w Ameryce kosztuje 4 Dol.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prenumerata Tygodnika „Djabeł“ wynosi wraz z przesyłką pocztową miesięcznie 800 Mkp.

Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:

Władysław Babuchowski, Kraków ul. Niecała L. 4.

WICEK SOCJALIK.



Pomiędzy moimi trunkowymi siapsiowymi międzynarodowymi towarzyszami jezd psiokrew jeden taki, którygo wabiliśmy Petrem, jako że z ruśniaków z pode Lwowa beł pochodzący. Ale macierz jego beła Polką i kiedy ociec pomer, przyknajała z nim, małym bąkiem na Podgórze gdzie mioła krewnioków. Petr sie tu psiokrew wychował i do ruśniaków nie beł sie przyznający, a nawyt z początku pomstuwał, kiedyśmy go Petrem wabili. Od kielku dni Petr się okrutnie odmienił i zaczon gwarzyć co on jezd psiokrew jakiś ukrainiec. Nie kapowaliśmy, co się z nim stało, ale jako prowda leży na dnie blachy, więc wczora Petr podkirzywszy się zaczon psiokrew prowdę godać.

Pokazało się co go zrobiuł ukraińcem rząd nowakowy, który ci jezd zakładający nowe państwo we wschodnij Galicyi. Bedom tam dwa syjmy polski i ruski, a jako że ruśniaków jezd tam winkszość, więc to bedzie państwo ruskie z mnijszością polską. Petr kumbinuje se tak:

W onym nowym państwie nowakowym, do którygo założenia namówił psiokrew Nowaka jakiś Mychajło Bobrzyńskij, ruśniaki bedom dzierżyli pirwsze mijsce, a nie trzo bedzie długigo czasu coby tam Polakom życie zbrzydło. Polskie biedronie bedom sie ruszczyły jako że każda szkoła bedzie psiokrew mioła taki język jak winkszość gminy zechce, a że mało jezd takich gmin, w których jezd winkszość polska, więc połowa co najmnij psiokrew dziecek polskich bedzie sie uczyła po rusku i ostaną psiokrew ruśniakami. A że ruśniaki ni majom psiokrew poletycznego wykształcynia, bo się żadyn taki morowiec jak Ignac między nimi nie ulągł, i że majom mało jenteligecyi, więc dla każdygo ruśniaka otwira się tam psiokrew morowa karyjera. „Między wami — peda Petr — do niczego psiokrew nie dojdę, ani do urzyndu, ani do ordyru — a w państwie ruskiem z moimi psiokrew zdolnościami i ze szkołom Ignacowom, mogę być jakim prezysem, dyrechturem, starostą, prefesurem luniwersytetu, członkiem psiokrew ruskij jakademji, a nawyt wojewodą, abo ministrem ukraińskim przy Nowaku we Warsiawie. Pusknąłem więc w trąbę polskość i przenoszę się psiokrew do nowygo państwa“...

A Mańce zwierzynieckiej, z którom Petra łączom bliższe przyjacilsko-lewicowe stosunki, przyobiecował psiokrew Petr, co jak zechce psiokrew ostać ruśniaczkom, to ci jom zrobi prezysową ukraińskigo Czerwonygo Krzyża i bedzie się lo nij starający o ordyr „virtuti prostituti“.

SYLWETKI KANDYDATÓW.

IV.

Czy to wieczór czy to rano,
Pchał się gdzie go nie posiano.
Różne sprawy wszędzie badał
A najwięcej gadał, gadał...
I zaklinał się na nieba
Że koniecznie działać trzeba.
Więc był w różnych komitetach
I wydziałach i ankietach;
Miał posiedzeń codzień cztery,
W portfelu nosił papiery;
Na tysiącu odezw blisko
Widne jest jego nazwisko;
Pełen o los kraju troski,
Ciągle stawiał nagłe wnioski
(Ma ich jeszcze pięćset w tece)
To zwoływał znowu wiece
I dowodził na nich jasno,
Żę gdzie wąsko tam i ciasno,
Że nam przyjdzie zginąć w nędzy
Gdy nie będziem mieć pieniędzy.
Że się winny uczyć dziatki,
Że konieczne są podatki,

Że trzeba kochać ojczyznę,
Zwalczać pasek i drożyznę,
Że Kraków nie byle dziura,
Że potrzebna jest kultura,
Że świat podły i zepsuty,
Że dobre są całe buty,
Że bez fabryk mocium panie
Przemysł nasz się nie ostanie:
Takie to idee nowe
Pchał w słuchacza tępą głowę.
Czy pogoda- czy deszcze padał
On wciąż gadał, gadał, gadał
Stękająco, ciężko, nudno.
Czy co *zrobił?* — orzec trudno,
Bowiem wszyscy i wy i my
Pracy jego nie widzimy,
Chyba jedną tę owocną
Że swój język zstrzępił mocno.
Lecz i to już chyba dosyć
By do sejmu go zaprosić
Bo wstyd byłby wielki iście
Nie postawić go na liście.
Potomność wam nie przebaczy
Gdy nie wpuścim w sejm gadaczy.

V.

W namiestnictwie czy wydziale,
Bo nie wiem dokładnie,
Czekał kiedy piąta ranga
Raz na niego spadnie.
Lecz oblicze odwracała
Ta dama dostojna
I jeszcze go w szóstej randze
Zaskoczyła wojna.
Więc na zachód zmykł coprędzej
Klnąc na czem świat stoi,
A z powrotem znalazł wszystko
„Co duszyczka roi".
Został bowiem dyrektorem
Jakiejś tam centrali,
Więc dostawcy, pośrednicy
Łapówki dawali.
Tak obracał zbożem, mydłem,
Że szły ceny w górę
Wreszcie znalazł jakąś jeszcze
Drugą synekurę.
Przy „zasiłkach" też pracował
I tysiące setek
Ulokował w portmonetkach
Powabnych kobietek.
A że wdzięczne to istoty,
Więc stąpał po kwiatach,
Przeżywając górne chwile
W zacisznych komnatach.
Szampiterkiem miłość ludzi
„Nieugiętych" chwytał,
A z miłością równolegle
Rósł mu i kapitał.
Ma miljonów dwieście „gotiu"
Na bankowych czekach
Sto miljonów w przędsiębiorstwach
Sto na hipotekach,
Finansista to więc świetny
I nie egoista,
A sejmowi jest potrzebny
Dzielny finansista.
Co do zasad — te... bezsprzecznie
Jakieś tam posiada,
Ale o nich, gdy sam milczy,
Mówić nie wypada.
Wyznawanie wreszcie zasad
Nie da samo chleba,
A i posłów „niezależnych"
Także nam potrzeba.

VI.

Na adwokaturze
Przez różne „pyskówki"
Chociaż w małem mieście
Doszedł do gotówki.
A że miał wśród żydów
Klijentelę znaną,
Więc go z ich pomocą
Burmistrzem wybrano.
Miejskiemi gruntami
Handlował z pożytkiem,
Przy „dostawach" zawarł
Tajną spółkę z żydkiem.
Lojalnym był zawsze,
Co mocno cenimy,
Stale krzyczał głośno:
Przy tobie stoimy!
Że zaś w polityce
Nie był marnem zerem
Więc go wdzięczny Franuś
Obdarzył orderem.
Łyki i kołtuny
Chwaliły go za to,
Że był zawsze niby
Ostrym demokratą,
Choć mówiono z cicha
Że ten demokrata,
Przedpokoje pańskie
Gdy każą zamiata.
Po wskrzeszeniu Polski
Stanął przy endecji,
Ale potem szukał
Ludowców protekcji.
W ostatnich miesiącach
Otwarcie i szczerze
Jako trabant wierny
Stał przy Belwederze.
A więc go pakujmy
Na sejmową ławę,
Gdzie się znów o jaką
Wystara ...dostawę.

Z CHWILI.

Rozwój bandytyzmu wszedł na tory normalne. Od stycznia 1923 bandyci zamierzają nawet wykupywać patenty w magistracie.

———

Już ubiegł tydzień po wyjeździe gimnazjalistów francuskich, a żadne grono młodzieńców nie przybyło do Krakowa na obiady i kolacje. Zaczyna być nudno i niebezpiecznie, bo możemy zostać bez poparcia politycznego. Na szczęście dowiadujemy się, że niebawem zjedzie do nas p. Pleinebouche, przepisywacz na czysto ról w komedji francuskiej, w towarzystwie p. Sagefemme, znakomitej działaczki na polu odrodzenia Francji przez wzrost populacji. Spodziewani są również p. Kukurudzuli, znany agrarjusz rumuński z p. Popodescu, słuchaczem teologji z Bukaresztu, dalej p. Zre a Pyskato, kandydat na burmistrza we wsi Valambrosa pod Florencją, p. Objadowowicz reporter „Illustrovaneho Novinkara“ z Jugoslavji i p. Säkerhetstänstikor fabrykant szwedzki. Na grudzień zapowiadają nam przybycie deputacji niemowląt z departamentu Seine et Oise.

Dowiadujemy się, że Boy zakłada uroczysty protest przeciw plebiscytowi Kurjera Ill. ponieważ w rzędzie najsławniejszych mężów Polski pominięto jego nazwisko.

Do listy kandydatów na horyzoncie wyborczym przybywają wciąż nowe gwiazdy z pod ciemnej gwiazdy.

Austrjackie korony doszły do wysokiego kursu, równego walucie angielskiej, sprzedają się bowiem na *funty*.

Na wieść o magistrackim chlebie
W głodnego wstąpił duch —
Kupił go, włożył go do siebie
I boli go brzuch.

Dziwić się temu nie można, ponieważ chleb ten jest taki lepki i gorzki, że powstało nowe przekleństwo:

Bodajś się opchał magistrackim chlebem!

Wawel znacznie podrożał. Jedna jego cegiełka kosztuje już 100.000 (przedtem 30.000).

DWA GŁOSY.

A na innym znów wiecu wyborczym
Wołał endek jak lew trzęsąc grzywą:
„Precz z Piłsudskim! niech zabrzmi dokoła,
„Jeśli chcemy mieć Polskę szczęśliwą.
„Wszystkich jego lokajów ród sępi
„Niechaj naród wypleni, wytępi...“

„Hasłem naszem: Niech żyje Piłsudski!“
— Krzyczał agent wyborczy donośnie, —
„W jego imię iść będziem do urny —
„Sława Polski przez niego wciąż rośnie.
„By sam rządzić mógł w grodzie Syrenim,
„Wrogów jego wytępim, wyplenim...“

Oby się te życzenia spełniły,
Z partyjników zostały ogony
Może naród wyszedłby z mogiły,
Raz by zyskał spokój upragniony
I rzuciwszy waśń pustą, niezdrową,
Podjął pracę nad własną budową.

SZCZYT NATURALNOŚCI
W GRZE AKTORSKIEJ.

Pan Jan (z zapałem): Ach, sąsiedzie kochany! jak ten X. wybornie gra starego ojca! Jaka prawda w jego grze się maluje!

Pan Piotr (wzruszając ramionami): Chyba sąsiad kochany żartujesz? Ależ ten fuszer nawet roli nie umie na pamięć i ciągle słów zapomina...

Pan Jan: A widzisz sąsiad... Zapomina... zapomina... To właśnie stanowi naturalność jego gry, gdyż wiadomo, iż starcy w ogóle mają krótką pamięć!...

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Pan prezydent ministrowy,
Co un też weterynarzem,
I pan minister skarbowy,
Co od marek jest drukarzem,
Dziennikarzy zawezwali
I radość była szalona,
Bo uni im oznajmiali,
Że drożyzne już skończona —
Że wszystkiego multum mamy:
Zboża, cukru, węgli, drzewa —
Moc ziemniaków posiadamy —
Słowem wszystko, co potrzeba!
Nawet mięsa nie brakuje,
Co wielkie radościów czyni,
Bo rząd ostro zakazuje,
Wywieźć chociażby pół świni!
Że ponieważ drukowanie
Marek koszt i złe wyniki,
Będzie teraz wybijanie
Metalowych jak guziki.
Wreszcie będą wystawione
Obligacye rządowe,
Marką, frankiem oznaczone,
Bardzo piękne, wartościowe!
To ministrów oświadczenie
Radość wielką by sprawiło,
Gdyby nie srogie strapienie
Bardzo brzydko nie dręczyło,
Bo cóż z tegi, że żywności,
Że wszystkiego jest po uszy,
Jeżeli zakupić możności
Nie ma — kużdy głowę suszy?
Jeźli kmiotek, który dusi
W skrzyni marek miliony,
Podatku płacić nie musi,
Od niegi prawie zwolniony?
Jeżeli zamiast sprzedawać
Żywność, wszystkie ziemiopłody,
Un woli je szwiniom dawać,
Kryć, by kraj doznawał szkody?
Więc jeżeli ministrowie
O dobrobyt wszystkich dbają,
Gdy się zbiorą znów posłowie,
Niech podatki podwyższają —
Niech kmiotkowi co mu dany

Cenny patent na lichwiarza,
Przez sejm będzie odebrany —
Niech go karzą jak zbrodniarza —
Niech nie tylko jajek dwoje
Na podatek sprzedać musi,
Ale ziemiopłody swoje,
Co jak skąpiec kryje, dusi.
Wówczas nie braknie żywności —
Ceny będą obniżone,
Dobrobyt u nas zagości —
Wszystko będzie naprawione!

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany).

I. Przygody myśliwych.

Zabawiłem się raz w myśliwego. Zaprosił mnie na polowanie kolega, obywatel ziemski. Po polowaniu nasłuchałem się ciekawych opowiadań przy kolacji. Postaram się o ile można dosłownie je powtórzyć.

— Mnie, mówił jeden z myśliwych, wydarzyła się awantura nadzwyczajna. Temu lat dwa z dwoma psami polowałem w okolicach Tarnowa, gdy naraz biegną dwa zające. Ujrzawszy mnie jeden myknął na prawo, drugi na lewo. Psy za nimi. Medor pobiegł za prawym, Diana za lewym.

Namyślałem się. Przysłowie mówi: „nie goń naraz za dwoma zającami". Co robić? Serce moje wahało się. Postanowiłem iść prosto przed siebie do rozstaja, gdzie zbiegały się dwie drogi. Nuż jeden z zajęcy tu przyjdzie.

Rachuba nie omyliła, nawet szczęście przewyższyło nadzieję. Oto jednocześnie pokazały się obydwa zające. W pędzie biegły naprzeciwko siebie. Zmierzyłem się. Miałem wystrzelić, a tu zające wpadły na siebie łbami, jak dwie lokomotywy, przewróciły się i leżały martwo na ziemi.

Pobiegłem je podnieść, nie żyły. Zgruchotały sobie wzajem czaszki.

— Bardzo rzadki wypadek, — zaopinjowali inni słuchacze.

— Jednakże, — rzekł myśliwy, — zające są bardzo inteligentne. Widząc zgubę, uciekają się do podstępów całkiem lisich. Sam byłem świadkiem polowania, gdzie jeden zając był sprawcą zguby sfory psów bardzo cennej.

Polowaliśmy w sąsiedztwie moich rodziców ze sforą 12 psów. Zając wyprysł z krzaków, psy za nim, rozpoczęła się gonitwa. Była bardzo ciekawa. Psy już go chwytały, naraz zając skręcił na lewo, a tuzin psów znikło, tylko słychać było ich zrozpaczone bolesne skomlenie. Przybiegamy. Oto psy wpadły w wąwóz o głębokości dwudziestu metrów. Zając poprowadził je na kraj przepaści i nagle skręciwszy w bok, zemknął przed prześladowcami, którzy w pędzie nie mogli byli się zatrzymać.

— To bardzo ciekawe.

— Panowie, — rzekł pierwszy opowiadacz,— zdarzyło się coś niemniej nadzwyczajnego. Oto polując na ptaki, upolowałem rybę.

— Jakto, rybę latającą?

— Nie, rybę wód słodkich. Polowałem na dzikie kaczki na stawie. Wiecie, to ptak ostrożny, jednakże zdołałem je podejść, nie spostrzegły mnie. Pływały spokojniutko, pokwakując przyjemnie. Co i raz poniektóra nurkowała, wynosząc rybę, która znikała w jej dziobie.

Z należytej odległości strzeliłem. Kaczki rozfrunęły się na wszystkie strony. Stadko przelatywało mi nad głową. Drugi strzał! Coś spadło na trawę. Spieszę i widzę wspaniałego karpia, złowionego przez kaczkę. Oto wszystko.

— Co do mnie, — rzekł trzeci, — to miałem wypadek zabawny, nie zbyt dobrze świadczący na moją korzyść i o mojej zręczności. Będziecie ze mnie kpili.

Zaprotestowaliśmy.

— Moi rodzice, — mówił, — obiecali mi dać pozwolenie na polowanie podczas wakacji. Polować, to marzenie! Więc wprawiałem się w parku, strzelając do celu. Już strzelałem jako tako i stary myśliwy poradził mi, abym się zaprawiał w strzelaniu do zwierzyny. Dał mi schwytanego przez siebie zająca.

Poszedłem do lasu, przywiązałem zająca sznurkiem do drzewa i z odległości piętnastu metrów chciałem go rozstrzelać. Celowałem długo i wreszcie dałem ognia. Byłem pewny, że trup.

Tymczasem widziałem, jak całkiem zdrowo uciekł. Ja trafiłem w sznurek.

— Wkrótce potem,—ciągnął dalej młodzian,— zbrojny w pozwolenie, polowałem od świtu do nocy. I chociaż wracałem z niczem, nic mnie nie zniechęcało. Jednakże doznałem pewnego rozczarowania i to znowu dzięki swej niezręczności.

— Mów, mów.

— Polowałem na kuropatwy. Naraz wyżeł staje. Naśladuję go, patrzę. O kilka metrów od psa spostrzegam kuropatwę, jaka! Wzruszony strzelam. Słyszę krzyk bólu, poczem jakiś przedmiot leci śród dymu i spada. Pies biegnie i aportuje.

Był to ogon, własny ogon wyżła, który ja ustrzeliłem.

— A kuropatwa?

— Fruwa do dziś dnia.

II. Cudowne pigułki.

Mówiliśmy o potędze kupieckiej reklamy. Tylko jeden pomiędzy nami ją lekceważył. Na szczęście nadszedł niedawno przybyły Polak z Ameryki, który się poznał praktycznie z działaniem amerykańskiej reklamy. „Kochany panie — rzekł do niewiernego — nie masz pan pojęcia o istocie rzeczy, kiedy usiłujesz obniżyć potęgę reklamy. Dowodzisz tem samem całkowitego niezrozumienia psychologji cywilizowanego czło-

wieka. Idzie o to, że chętnie pozwalamy na siebie wpływać, czy to kobiecie, którą kochamy, czy też jakiemukolwiek mydłu eskimosów.

„Przestudjowałem całą sprawę dokładnie i przyszedłem do wniosku, że o każdym narodzie można bez wahania powiedzieć: „Pokaż mi twoje tablice reklamowe, a powiem ci, kim jesteś“.

— Żartujesz pan!

— Broń Boże! Mieszkałem przez dłuższy czas w Ameryce i jestem bezgranicznie zachwycony genjuszem reklamowym yankesów.

Czy na ulicach Paryża oglądano kiedy widowisko, polegające na tem, że na samochodzie obwozi się żywego wołu w szklanej puszce? Czyż to nie jest wspaniała reklama dla fabryki konserw mięsnych? Albo czy widziano u nas kiedykolwiek w oknie wystawowem piękną kobietę, rozbierającą się i ubierającą aż do najintymniejszych szczegółów bielizny? Czy mamy wogóle pojęcie o tem, jak się w Ameryce reklamuje kościoły? „Dzisiaj wieczorem w kościele Jana Chrzciciela wielebny Piffle odprawia nabożeństwo. Wykwintne fotele, sala doskonale ogrzana, komunikacja autobusami we wszystkich kierunkach“. Aha, ogarnia was zdumienie! I dlatego w starej Europie nie wolno ludziom wogóle dyskutować na temat reklamy. Czasami tylko przez dziwny zbieg okoliczności reklama może przynieść zawód. Opowiem ucieszną historyjkę z nowojorskiego życia handlowego, której ofiarą padł znany zamorski aptekarz.

Otóż ten przedsiębiorczy człowiek wynalazł cudowne pigułki, które rzekomo w ciągu 24 godzin leczyły katar, kaszel i wogóle wszelkie dolegliwości organów oddechowych. Pigułki te były sporządzane z cukru, wanilji, bizmutu, siarczanu cynku, mąki ryżowej i tłuszczu wielorybiego. Pewien z góry powodzenia, szczęśliwy wynalazca odszukał szefa największego biura reklamy i tak doń przemówił:

— Mr. Edwards, aby wprowadzić swe cudowne pigułki potrzeba mi niebywałej reklamy. Rozpocznie pan od tego, aby mi za wszelką cenę wydobyć od pani Piazzini, primadonny opery Metropolitan, świadectwo, potwierdzające cudowną moc moich pigułek. Ogłosimy to we wszystkich dziennikach w rękopisie, a za ośm dni będę w swej aptece przy ulicy Waszyngtona sprzedawał moje pigułki wagonowo.

Pani Piazzini była najznakomitszą śpiewaczką na kuli ziemskiej. Nazywano ją Patti XX stulecia. Co wieczór śpiewała jedną ze swych popisowych ról ku powszechnemu zachwytowi miljonerów. Mr. Edwards udał się do niej i wyłuszczył swoją prośbę. Diva przyjęła go bardzo ozięble. Przed chwilą proszono ją o pochlebne słowa na temat elektrycznej miotły, a w ubiegłym tygodniu poświadczyła bajeczne własności pewnego gatunku mydła mineralnego. Znudzona potokiem słów niezmordowanego mr. Edwardsa, rzekła wreszcie:

— Niechaj będzie. Moje świadectwo otrzyma pan pod następującym warunkiem.

— Słucham łaskawa pani!

— Nikt mnie nie będzie zmuszał do połykania tych pigułek.

— All right, zrobione.

— Będzie pana to kosztowało 10 tysięcy dolarów.

Mr. Edwards skrzywił się. Po chwili jednak wyjął z kieszeni wieczne pióro i podyktował pani Piazzini następujące słowa:

„Cierpiałam od trzech tygodni na chroniczny bronchit. Kasłałam po całych dniach i nocach. Płuca mnie bolały, w gardle paliło, miałam podwyższoną temperaturę, słowem objawy przeziębienia były nieznośne. Ale dzięki cudownym pastylkom „Phönix“ uwolniłam się w ciągu 24 godzin od wszystkich dolegliwości.

Podpisano: Piazzini, Opera Metropolitan“.

Zachwycony mr. Edwards pobiegł niezwłocznie do wynalazcy pigułek i z tryumfem pokazał mu rękopis artystki.

— Brawo, świetnie zrobione. Ten papierek wart tyle. A teraz podaj mi pan utwór Piazzini do wszystkich dzienników w rubryce teatralnej. Dodaj pan fotografje śpiewaczki w roli Małgorzaty, co najmniej wielkości pół strony. Dnia 15 lipca reklama musi się rozpocząć. Do tego czasu wyprodukuję odpowiednią ilość pigułek na skład.

— Może pan na mnie polegać. Głupcem będę, jeśli pan nadąży z fabrykacją.

Dnia 16-go lipca o godzinie 9 rano udał się mr. Edwards do biura wynalazcy. Za nim chłopiec niósł olbrzymi stos dzienników.

— No — zapytał wynalazca — co pan powie o moim pomyśle?

— Poprostu człowiek nabiera ochoty do kataru, aby się leczyć pańskimi pigułkami.

Fabrykant był zachwycony. Fotografja i świadectwo były umieszczone we wszystkich dziennikach na najwidoczniejszem miejscu.

— Widzi się tylko moją reklamę — wołał — dziwię się jedynie, że dotychczas niema telefonicznych zamówień.

Nagle różowy humor zniknął. Aptekarz chwycił jedną z gazet i krzyknął ochrypłym głosem:

— Mr. Edwards, mr. Edwards, na Boga, spójrz pan tutaj! Czy mnie wzrok nie myli?

Mr. Edwards pochylił się nad dziennikiem i przeczytał w rubryce teatralnej, tuż pod ogłoszeniem, następujący komunikat dyrekcji opery Metropolitan:

„Z największą przykrością zmuszeni jesteśmy zawiadomić liczne rzesze tych, którzy zachwycają się artyzmem naszej primadonny, pani Piazzini, że artystka od kilku dni chora jest na bronchit i chrypkę i że do tej chwili stan jej zdrowia nie uległ poprawie. Wobec tego pani Piazzini nie może dzisiaj kreować roli „Carmen“..

— Ale — dodał nasz Polak amerykański — taka niespodzianka jest prawie unikatem. W zasadzie reklama zawsze przynosi setki tysięcy dolarów.

Z TEKI KORESPONDENTA.
(NADESŁANE)

Szanowna Redakcjo!

Między firmami, anonsującemi się u Was zauważyłem aż dwa ogłoszenia: „F. Kopaczyński ul. Bracka l. 2“. W jednem poleca wyroby sztuki kościelnej, a w drugiem sztandary dla korporacji i młodzieży szkolnej. Skorom ten drugi anons przeczytał memu Frankowi, który już przechodzi do klasy szóstej, zaiskrzyły mu się oczy. Należy smarkacz do harcerskich drużyn. „Tatusiu zobaczmy sztandary“ woła. „Dam ja ci sztandar z koziego abecadła“ powiadam, ale idziemy na Bracką. I cóż wy na to Panowie Redaktorzy! Kupiłem sztandar piękny, amarantowy. Chłopak zapakować go nie dał. Osadził zaraz na drzewcu i paradował z nim przed nami. Wyglądaliśmy przytem, jak procesyjka, zdążająca na odpust, a ponieważ skręcaliśmy ku Rynkowi w stronę strażnicy, bałem się tylko, aby nam zanadto oficjalnie nie salutowali żołnierze, tam biwakujący. Od Kopaczyńskiego ponadto wziąłem kilka firmowych biletów, by je rozdać między znajomych księży w Piotrkowskiem, gdyż posiada na składzie rzeczywiście śliczne ornaty, kielichy, świeczniki i inne kościelne przybory.

Przypatrzywszy się przez chwilę pięknej wieży ratuszowej, zwróciłem się teraz z uroczystą przemową do mojej rodziny: „Widzicie Kochani! Jak będziecie tak dalej grzeczni jak dotąd to — to — tatuś kupi coś dla siebie. Chodźmy do „Fr. Mecnarowskiego i Aksaka na ul. Sławkowską l. 25“ po ubranie dla mnie. Kiedy przy przymierzaniu ubrań uderzyłem niezręcznie o stół sklepowy kamizelką, zepsuł mi się spoczywający w niej zegarek. Kazałem go potem naprawić u jakiegoś zegarmistrza, ale nie wiem jak się nazywał, bo się u Was nie inseruje.

U Mecnarowskiego i Aksaka kupiłem szare ubranie jesienne i żakietowe od parady, a moja Malwincia oświadczyła, że oba leżą na mnie i prezentują się nadzwyczajnie.

U „E. Ostaszewskiego i E. Mayera, Rynek gł. l. 5“ przystanęliśmy znowu. Żona powybierała pończochy dla siebie i dzieci, a skarpetki dla mnie. Pofundowaliśmy sobie niciane rękawiczki, grzebyczki, agrafki it. d., wreszcie zaś nabyłem krawat do wiązania. Wprawdzie ja krawatek wiązać nie umię, a to jak mi pokazywał Ostaszewski nie bardzo rozumiałem, jednak Malwincia twierdzi, że ona już wie, i będzie mi sama na szyji krawat wiązała. Boję się tylko aby mi przytem kiedyś w pasji szyji na śmierć nie zawiązała, bo taka dziś podobno moda, skoro się „Kurjerek“ w ostatnich numerach tyle o zbrodniach kobiecych rozpisuje.

Obładowani pakunkami wychodzimy. W tem niespodzianie deputacja moich córek odzywa się do mnie nieśmiało. „Tatusiu! Masz dwa ubrania — a gdzie suknia dla mamusi? „Co“ ryknąłem — mało mama przygotowała sobie toalet do Zakopanego?“ „One wszystkie letnie“— oświadczają córki. „Chodźmy do „Władysława Gibaszewskiego na Florjańską l. 35“ — zrobimy mamie niespodziankę“. Namyślam się: „Suknia — niespodzianka — krawat — szyja“.

Chodźmy — decyduję.
Dwie bluzki jedwabne.
Jeden kostjum jesienny.
Jedna halka.

Chwała Bogu, że tam nie sprzedają gorsetów, bo się na razie bez kupienia tego pomysłu obeszło. Swoją drogą Gibaszewski posiada towar pierwszorzędny.

Nająłem na rogu Florjańskiej ekspresa, by nasze pakunki poodnosił do hotelu, i poczynamy się zastanawiać, gdzie iść na kolację.

O tem napiszę w najbliższej przyszłości.

Przyjaźnie oddany
Pantaleon Przepiórkowski.
obywatel miasta Piotrkowa.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 wiersz milimetr. jednoszpalt Mkp. 40 1 wiersz milimetr. długości 25 mm w tekście Mkp. 60.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Babuchowski

Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.